

UWAŻAŁ SIĘ ZA BOGA, PANA ŻYCIA I ŚMIERCI.
PRZYPISUJE MU SIĘ TYSIĄCE OFIAR

A dramatic portrait of a man with dark, wavy hair and a mustache. The image is split vertically down the middle. The left side shows a living man with a serious expression, looking directly at the camera. The right side shows a human skull with intricate, golden, ornate patterns on its surface. The background is a dark, textured red with a golden halo-like glow behind the man's head on the left side.

ESCOBAR

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ



ESCOBAR

FILIA

*Czystym, umyтым duszom.
Tym, co znaleźli siłę, by wyrwać się z natogu.*

„Sami zobaczycie, mówił, znowu rozdziela wszystko pomiędzy księży, jankesów i bogaczy, i oczywiście guzik dla biedaków, bo tym będą zawsze tak dokopywać, że w dniu, kiedy gównu nabierze wartości, biedacy urodzą się bez dupy, sami zobaczycie”.

Gabriel García Márquez, *Jesień patriarchy*,
tłum. Carlos Marrodán Casas, Warszawa 2002.

1.

Hipopotamy. Czy ktokolwiek kąpał się z hipopotamem i usiłował ujeźdźać go jak konia?

Czy ktokolwiek przybił do końskiego grzbietu skrzydła, bo zamarzył o Pegazie? Czy ktokolwiek...

Cholera. Myśli płaczą się mi jak u rażonego chorobą starca. Muszę wziąć się w garść i jeszcze raz spojrzeć w niebo. Słońce pada mi w twarz, a pod plecami czuję rozlewające się ciepło.

Czy ktokolwiek wydawał dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie na gumki recepturki, by związywać rulony banknotów?

Ktokolwiek poza mną... Bo ja widziałem i zrobiłem to wszystko. Wobec tego chyba mógłbym powiedzieć, że miałem dobre życie. Nadal mam. Co jeszcze mnie czeka? Czy to już koniec?

A właśnie. Życie?

Czym, do cholery, jest życie? Zlepkiem sekund, minut i godzin? Mnóstwem wspomnień, z których

każde jest gównem, jeżeli ich przeciwwagą jest jedynie wieczna nicość?

Staralem się w coś wierzyć. W cokolwiek. Szukałem znaków Opatrzności, Boga, losu. Rozmawiałem z duchownymi, jakby naprawdę byli studnią ponadczasowej mądrości. Jakby mogli wiedzieć więcej, niż wiem ja sam. To bajki. Dlaczego tak miałyby być? Bóg, jeżeli istnieje, nie wskazuje palcem kolejnych ludzi i nie mówi: „Ten, ten i ten będziecie mi służyć, a w zamian dostaniecie tajemnicę zbawienia”. To bajki dobre dla motłochu. Właśnie w ten sposób steruje się tłumem. Znam to bardzo dobrze.

Ból... Przeszywa mnie skurcz, ale... O czym ja...

Ach, jak łatwo jest kierować emocjami ludzi! Szczególnie jeśli na stół rzuci się coś tak ważnego jak życie wieczne. Banał... A co więcej, jeżeli w grę wchodzi pieniądze i wygoda już w tym cholernym życiu. Z gwarancją tu i teraz. Bez żadnych pieprzonych formularzy podpisywanych in blanco, tylko kawa na ławę, proszę bardzo – masz, czego chcesz już teraz. *Plata o plomo**. Płać lub giń, sukiny-synu.

Nigdy nie obiecywałem czegoś, czego nie mogłem zagwarantować. Czym innym były marzenia.

* Z hiszp. „srebro lub ołów” – jedno z haseł „polityki biznesowej” Escobara, innymi słowy: „kasa albo kulka w łeb”.

Pamiętam małego, delikatnego chłopca, którym byłem. Szczerzy uśmiech, dołki w policzkach, oczy jak u lalki. I głowa pełna marzeń, w które wierzyłem nie tylko ja, ale wszyscy dokoła.

Zarobię milion dolarów. Przyjadę tu największym cadillakiem prosto z amerykańskiego salonu. Zostanę prezydentem albo papieżem. Właśnie dlatego lepiej trzymajcie moją stronę, bo jeśli nie... rozdepczę was na miazgę. Bo wrzucę wasze ciała do bezimiennych, masowych grobów albo zostawię na autostradzie tak, by każdy mógł na nie patrzeć i czuć strach. Bójcie się i kochajcie. Rozumiecie? Bójcie się i kochajcie, bo właśnie to jest waszym życiem. Strach oraz miłość. Nic więcej.

Nie wierzycie mi? Nie wierzycie, że mógłbym utopić świat we krwi i podpalić każdy cholerny budynek w tym mieście? Spójrzcie na te wszystkie dziewczyny, są moje. Helikoptery, zwierzęta, stadiony, walizki pełne dolarów. Zbudowałem sąd, w którym chcielibście mnie sądzić, i więzienie, do którego trafiłem. To ja stworzyłem ten świat. Każda kreska kokainy wciągana w kiblach amerykańskiego Kongresu była wciągana dzięki mnie. Beze mnie nie byłoby świata, który znacie. Beze mnie być może nie byłoby was. I wiary w Boga.

Boże! Teraz, gdy spoglądam wprost w niebo, musisz mnie dobrze widzieć. Napatrz się. Spójrz prosto w moją twarz i się bój. Tak, to właśnie ja.

Pablo Escobar.

2.

Pierwsze wspomnienie? Wiele razy rozmawiałem na jego temat z przyjaciółmi. Pytałem, jak daleko sięga ich pamięć. Przecież, gdyby się zastanowić, najdawniejsze wspomnienie powinno dotyczyć śmierci. Czasu, kiedy nas nie ma. Gdyby tylko udało się sięgnąć pamięcią przed czas naszego urodzenia, zobaczylibyśmy wieczność. Tak utrzymywał pewien ksiądz.

Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie? Kiedy masz cztery, pięć albo osiem lat? Nie pamiętasz wilgoci wód płodowych, pierwszego błysku światła, klepnięcia w tyłek ani uszczypnęcia w policzek. Nie zostaje ci w głowie nic z tych chwil. To wspomnienia innych, ale nie twoje.

Możesz patrzeć na zdjęcia. Wydaje się, że to całkiem dobry sposób, żeby przenieść się w czasie, ale w moich stronach niemal nikt nie robił zdjęć. Trzeba było przejść do pobliskiego miasteczka, żeby trafić do atelier fotografa. W zadupiu pod Rionegro, gdzie się urodziłem, nikt nie miał aparatu. Sprzęt ukradziony

jakimś amerykańskim turystom szybko się zepsuł albo nie można było dobrać do niego odpowiedniej kliszy. Nie wiem, nie pamiętam. Moje pierwsze wspomnienie na pewno nie sięga tak daleko.

Nie mam zdjęcia z dnia, kiedy przyszedłem na ten pieprzony świat. Ponoć było to w grudniu 1949 roku, ale nie mam pewności. Matka czasem opowiadała rozmaite historie. A ja czego miałbym się trzymać, jeśli nie jej słów? Co mam w zamian? Księgi kościelne i metryki prowadzone przez wiecznie podpitego urzędnika?* Bzdury. Oni mylili nie tylko imiona, ale nazwiska i cyfry. Stanowiłem dla nich jedynie kolejny przypadek zmuszający, by oderwać się od odpoczynku.

Co innego jest bardziej pewne. Byłem drugim z siedmiorga dzieci moich rodziców. Mimo to mój starszy brat, Roberto de Jesús, wcale nie musiał być pierwszym. Mówiono, że matka dwukrotnie poroniła albo że urodziła mnie jeszcze przed ślubem i potem musiała ten fakt maskować. Różne wersje i różne opowieści. Jak zwykle. Na szczęście prawda nigdy mnie szczególnie nie interesowała. I to nie tylko w tym przypadku. Bo prawda to kwestia zeznań świadków, dokumentów i sumy reszty kłamstw. Szybko się tego nauczyłem.

* Świadectwo chrztu Escobara znajduje się w parafii św. Mikołaja w Rionegro. Sporządził je ojciec Juan Gómez. Istnieją źródła kwestionujące oryginalność tego dokumentu.

Dlatego jeżeli zapytacie mnie o pierwsze wspomnienie, powiem o plamce słońca padającej mi na twarz. Jakbym został wybrany iznaczony przez Boga. Gdzieś niedaleko rozlega się strzał, ktoś wybucha płaczem, a ktoś inny wyrzuca z siebie potok najgorszych przekleństw. Słońce zachodzi i dokoła zapada łagodny półmrok.

Okolica, w której przyszedłem na świat, jest położona u podnóża Andów tak, że góry stanowią naturalną barierę dla chmur. Nie ma drugiego tak mglistego miejsca. W pewnych okresach słońce to więcej niż cud, zatem jak widzicie, właśnie wtedy ów cud się wydarzył. Niedługo później nasunęła się gęsta, wilgotna mgła. Mgła, która oblepia twarze i spowija krajobraz całunem. Miejscowi Indianie mawiają, że ta mgła to dech śmierci, który podąża za nami, dokądkolwiek pójdziemy, i że w duszach urodzonych w tamtym miejscu nie ma słońca. Zgadzam się z nimi.

3.

Wspomnienie drugie.

Matka trzymająca mnie na kolanach i przeczesująca palcami moje włosy. Zawsze byłem z nią blisko. W pewnym momencie traktowała mnie wyjątkowo, wyróżniając

na tle rozdartego i wiecznie płaczącego rodzeństwa. Ja rzadko płakałam, co zostało mi na całe życie.

Więc to drugie wspomnienie jest naprawdę symboliczne. Może zawdzięczam je włoskiemu pochodzeniu matki, a może swojemu charakterowi. Jakiegoś tajemniczemu tchnieniu, które kształtuje życie nas wszystkich. Ach, chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Jeśli w waszej pamięci najdawniejsze przeblęski dotyczą tego, że byliście gnębieni lub że zmieniano wam pieluchę, przykro mi. Właśnie tak natchnął was los. Jesteście pieprzonymi ofiarami lub wychuchanymi trybikami maszyny, jaką jest cywilizacja. Niczym więcej.

– Pablo, Pablito...

– Tak, mamó?

Matczyne palce delikatnie przegładzające moje włosy i jej oddech na moim karku. Siedzę na jej kolanach. Przede mną na stole jest pusty talerz po gęstej zupie, a z drugiego pomieszczenia dobiega wieczny płacz. Darcie się któregoś z moich braci lub którejś z moich sióstr. Albo ich gremialny rozpaczliwy chór.

Matka nie zwraca na nich uwagi. Podciąga mnie, lekko obracając w swoją stronę. Spogląda mi w oczy, a ja na całe życie zapamiętuję ten moment. Jej bystry, analizujący wzrok, lekko zmarszczone czoło i czarne włosy przetknięte pierwszymi pasmami siwizny.

– Wiesz, że twój dziadek Roberto Gaviria Cobaleda handlował whisky? – Matka sięga po niski kieliszek i obraca go w dłoni. Ponownie jak na zawołanie rozwiewa się mgła, a w szkle rozszczepia się światło słońca. – W tamtych czasach nie można było prowadzić takiego handlu. Ale tylko w ten sposób dziadek mógł zapewnić nam utrzymanie.

– Gdzie jest dziadek? – pytam, choć może robię to nie słowami, ale spojrzeniem.

– Dziadek nie żyje. Wszystko, co mamy, zawdzięczamy właśnie jemu. I temu, że działał wbrew państwu i prawu. Państwo to złodziej oraz morderca.

– Dziadek zginął?

– Czy to ważne? Umarł. Już go nie ma wśród żywych, ale możemy się za niego pomodlić.

Modlę się. Do dzisiaj. Za dziadka Roberta Gavirię Cobaledę modlę się niemal każdego dnia, prosząc, by pomógł mi w utrzymaniu rodziny. Zresztą z tygodnia na tydzień od tamtego wspomnienia numer dwa mój dziadek urastał do roli kogoś niemal namacalnie mi bliskiego. Świętego, który towarzyszył mi na każdym kroku. A jeśli taki święty daje ci przykład, że nie tylko można, ale nawet należy chrząnąć wszelki zastany porządek, robisz to. Nie wahasz się. Następnie zyskujesz pewność, że miałeś rację, więc robisz to jeszcze gorliwiej. Wspomnienia i opowieści

tworzą człowieka równie jak geny. I jak mgła śmierci zastygła na płaskowyżu.

4.

Wpadam do pokoju nauczycielskiego. Mam dziesięć, może jedenaście lat. Ludzie napakowali mi do głowy przekonanie, że w życiu można coś osiągnąć, jedynie ukończywszy szkołę i studia. Nikt nie kazał mi się jednak w tym celu uczyć.

– Gustavo – szepczę. – Droga wolna, pilnuj wejścia.

Mój kuzyn potwierdza, że zajął już stanowisko. Mam dwie lub trzy minuty, by znaleźć sprawdzian, od którego zależą końcowe oceny całej klasy. Jeśli zostanę złapany, pożegniam się ze szkołą i z przyszłością. Choć co do drugiego nie jestem wcale przekonany. Ani dziadek Roberto, ani wuj Pedro nie kończyli szkoły. Wuj Joaquín* i owszem, ale on został dyplomatą, a ja dyplomację mam w dupie. Nie potrzebuję strzępić języka, żeby osiągnąć to, czego pragnę.

– Pośpiesz się!

Przeszukuję metalową szafkę, lecz nie ma w niej żadnego sprawdzianu. Niech to diabli! Dopadam do

* Joaquín Vallejo Arbeláez (1912–2005).

biurka, po czym wyjmuję kolejne szuflady. Długopisy, ołówki, kredki. Puste kartki, pomięte papiery, jakieś stare słodycze. Przecież musi gdzieś tu być! Sprawdzian miał się odbyć poprzedniego dnia, lecz udaliśmy zbiorową chorobę. To był mój pomysł. Dzięki niemu mam pewność, że pani López przyniosła sprawdzian do szkoły i że...

– Mam! – Tryumfalnie unoszę plik kartek. Napisane na maszynie zadania z matematyki, które następnie zostaną zapisane na tablicy. To zawsze wygląda właśnie w ten sposób. – Dobra nasza.

Lekcje zaczynają się za dwie godziny, ale i tak muszę się śpieszyć. Wyciągam przygotowany ołówek i maleńki notes. Przepisuję kolejne zadania, po czym wszystko starannie chowam. Zamykam biurko, nie zostawiając żadnych śladów.

– Szybciej, do cholery, szybciej!

Wypadam z pokoju nauczycielskiego i zerkam na kuzyna. Gustavo jest cały czerwony. Sprawia wrażenie, jakby miał zaraz zemdleć. Biedaczek. Jest dwa lata młodszy ode mnie i czasem łapie diabelnego pietra.

– Spadajmy stąd – prosi. – Szybciej.

– Nie, jeszcze nie.

– Co chcesz zrobić?

Klękam przy drzwiach i ponownie majstruję w zamku. Za pomocą cienkiego drucika oraz pilnika przesuвам zapadki. Zamek klika jak przy obróceniu klucza.

– Teraz możemy iść – stwierdzam. – Nikt się nie zorientuje, że tu byliśmy.

Gustavo rzuca się do ucieczki. Pochylony, co rusz zerka w stronę okien. Zajęcia zaczynają się dopiero za ponad godzinę, ale nauczyciele mogą zjawić się w każdej chwili. W tej okolicy dzień zaczyna się bardzo szybko. Mama widziała, że wyszedłem z domu przed świtem. O nic nie pytała, domyślając się chyba, co zamierzałem. Ona zawsze wie.

– Hej, Pablo... – Gdy wreszcie znajdujemy się na dworze, Gustavo chwyta mnie za rękę. – Powiedz mi jedno.

– No?

– Po jasną cholerę jest ci ten sprawdzian, skoro masz pewność, że zdasz? Akurat ty masz dobre oceny...

Uśmiecham się. On naprawdę niczego nie rozumie.

– Niedługo się przekonasz – zapewniam. – Musisz mi tylko zaufać i się mnie trzymać. Nigdy na tym nie stracisz.

– Wiem, Pablo. Wiem.

**Ta historia jest całkowicie nieprawdopodobna,
a jednak w pełni prawdziwa.**

**„Mieszkańcy tego kraju już mnie szanują, ale teraz
mają mnie pokochać. Mam być dla nich bliższy niż
ojciec i matka. Mam być dla nich jak Bóg”.**

Inteligentne dziecko, które stało się drobnym
przestępcą. Drobnym przestępcą, który został baronem
narkotykowym i jednym z najbogatszych ludzi świata.

Uważał się za Boga, pana życia i śmierci. Przypisuje
mu się tysiące ofiar. Jednocześnie mieszkańcy
Kolumbii modlą się do niego i wnoszą mu kapliczki.
Traktują go jak świętego.

Niepowtarzalna narracja pierwszoosobowa sprawia,
że wnikamy w jego umysł. Umysł Pabla Escobara.

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl



FILIA

NA FAKTACH

